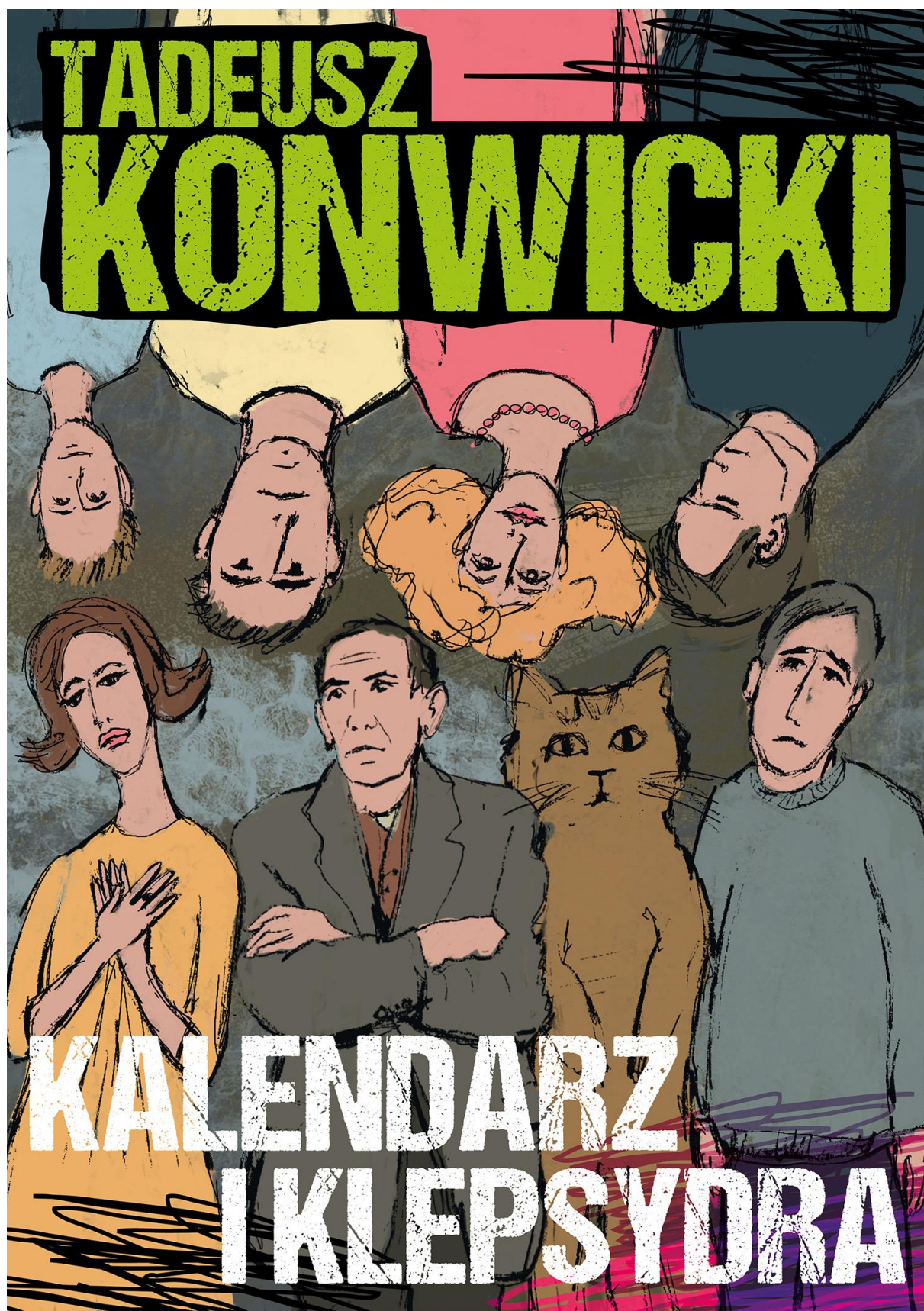


TADEUSZ KONWICKI



KALENDARZ
I KLEPSYDRA



Tadeusz Konwicki

KALENDARZ I KLEPSYDRA

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-00-6

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Czytelnik, Warszawa (1976)

Projekt okładki: Olga Bóldok

Od czego tu zacząć? Może od znaku krzyża albo od zaklęcia? Jestem zabobonny. Coraz bardziej zabobonny. Tylko ludzie z powodzeniem, tylko ludzie w sztosie życiowym śmieją się z przesądów. Ale im dłuższe życie, tym skąpsze. Pod koniec coraz częściej trzeba odpukiwać, trzykrotnie spluwać, żegnać się ukradkiem.

A ja się porywam na rzecz trochę absurdalną. Wiele lat trzymałem się fabuły, tego mocnego łańcucha, co skuwa rozwichrzona słowa. Ile razy, poniesiony nadmierną ambicją, odchodziłem od fabuły, zaczynałem się pieścić prozą refleksyjną czy jak ją tam zwać, tyle razy ponosiłem sromotną klęskę. Wobec tego właśnie z zabobonnym lękiem chwytalem się zawsze fabuły, akcji, sensacyjnego wydarzenia. Ta fabuła prowadziła mnie jak ślepcę po trzęsawiskach powieściopisarstwa.

No i wreszcie znudziła się, znudziła się zwykle i po prostu, niczym monotonna, automatyczna czynność wykonywana przez wiele lat. I pomyślałem sobie, że byłoby miło pisać od chwili do chwili, od zachcenia do zachcenia, od przypadku do przypadku. Trzeba złego trafu, że to moje osobiste, incydentalne znudzenie przyszło w takiej chwili, kiedy i inni romansopisarze, i inne mrówy tego mozolnego fachu, kiedy wszyscy wyrobnicy pióra jeli ukradkiem wypuszczają spod siebie tę fabułę jak niepotrzebny już nikomu balast wieziony na wszelki wypadek nie wiadomo dokąd.

Najmilej byłoby napisać prawdę. Całą prawdę o czasach, o ludziach współczesnych i o sobie. Ale jest to niewykonalne z wielu powodów. Nie umiem pisać do szuflady. Żeby liczyć na potomnych, trzeba dużo dzikiej pychy albo strasznej pokory. Nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, że za dziesięć lat ktoś sięgnie po moją książkę, a tym bardziej że przyjdzie mu ochota szperać w moim domu, który do tego czasu może spali się trzy razy. Jeśli już mam jakąś ochotę, to tylko ochotę korespondowania z rówieśnikami, których znam jak łyse konie. Którymi gardzę, których nie znoszę i których muszę lubić, bo nie znam przecież innych.

Więc o czasach naszych mogę pisać zaledwie ogólnikowo, o ludziach bezimiennie i ostrożnie, a o sobie nie warto, bo łatwo wpaść w pułapkę obrzydliwego, minoderyjnego egotyzmu, w której udusiło się już wielu tęższych ode mnie literatów. Najbardziej to mi szkoda tej prawdy o współczesnych. Mógłbym sobie nieźle pofiglować. Ileż warstw bujdy nosimy na sobie niczym cebulowych łusek. Niektórzy wyglądają jak stare karczochy. Prawda to jest instynkt gwałcony codziennie przez nas wszystkich. Prawda to jest ostatni łyk tlenu. Prawda to jest przedśmiertne rozgrzeszenie.

*

Znam obowiązki wobec czytelnika, którego z fałszywą pokorą będę nazywać swoim powiernikiem. Wiem, co się lubi czytać. Wiem, że strony pokryte maczkiem, nierozweselone częstymi akapitami, nieokraszone kaskadami dialogów odstraszą najwytrwalszych. Wiem, że nudno jest brnąć przez czyjeś myśli, jeśli nie są złote. A i złotymi można się przejeść, czasem nawet udławić.

Wobec tego obiecuję lekturę żywą i pełną niespodzianek. To będzie, mimo wszystko, książka sensacyjna. Otwieram ją w dniu Nowego Roku. Od tej chwili zaczniemy czekać intensywnie na coś, co przyniesie nurt życia. Można czekać na wiele różnych rzeczy. Moje przeczucie starego guślarza z lasów wileńskich podpowiada dużo niespodzianek. Spiałem się jak rzadko kiedy, chyba jak nigdy w życiu. I to życie ułoży fabułę tego zapisu, ustawi tor przeszkód życiowych, wywikła dramat o tyle ciekawy, że autentyczny i spreparowany na waszych oczach.

Już mi się mój pomysł wydaje banalny, niezasługujący na wysiłek. Kiedyś, może w lecie, albo później, kiedy z katorżniczym wysiłkiem brnąłem przez śliczną i życzliwą Amerykę, kiedyś w tym ubiegłym i już nieistniejącym roku przyszedł ożywczy pomysł i chwyciłem się go jak tonący brzytwy albo jak ślepnący rozpalonej lampy. Ale im częściej w nastającej zimie zaczynałem chodzić, właściwie skradać się wokół obrzydliwie białego papieru, tego mojego szafotu, tym bardziej słabła odwaga, tym bardziej wygasła ambicja.

Teraz siedzę sam w samym środku nocy. Jeszcze tylko jakiś sąsiad przewróci mebel od niechcenia, inny wbije młotem szlągoborek w ścianę, jeszcze gdzieś zakrzyczy na którymś piętrze czyjaś duszona żona i przyjdzie krótka cisza, chwila spokoju przemęczonego miasta.

Trzeba coś robić. Zaplątał mnie los, nie, nie los, zwykły przypadek, układ społeczny albo może towarzyski, coś mnie zaplątało w ten fach, który wykonuję amatorsko, ale konsekwencje ponoszę jak zawodowiec. Trzeba coś robić. Trzeba zapełniać nieczytelnym pismem wiele żółkłych stron, bo lubię pisać na odwrocie cudzych starych maszynopisów. Ale jest nam przecież po drodze. Mnie też popędza ciekawość. Już nie taka jak dawniej, lecz jednak ciekawość. Ciekawość tego, co to wszystko znaczy. Co znaczą ja, co znaczą wy, co znaczy ta złachana kula spowita zatrutymi chmurami, od której co chwila odrywają się z nadludzkim wysiłkiem nasi bracia kręgowcy, odrywają się na króciutkie mgnienie i spadają z powrotem w ogromnym słupie wiecznego ognia jak gwiazdy na sierpniowym niebie, co obiecują spełnienie ludzkich marzeń.

Wchodzę do Spatifu (klub aktora, czyli knajpa). W dużej sali pustawo, zatrzymuję się więc niezdecydowanie przy drzwiach. Wtedy od stolika spod okna odrywa się jakiś pan. Idzie do mnie po przekątnej z uniesionymi do góry rękami. Poznaję siwe włosy, dostojne oblicze. To ważna postać warszawskiej socjety. Krzaczaste brwi godne wielkiego kanclerza koronnego wspięły się wysoko na szlachetne czoło. Jest zdziwiony i uradowany tym spotkaniem, a ja tylko zaskoczony. Podchodzi ceremonialnie, bierze mnie w ramiona po staropolsku. Nieliczni biesiadnicy zwracają ku nam ciekawie głowy. Z sali bufetowej wynurzyli się alkoholicy, żeby przyjrzeć się uroczystemu widowisku. A kanclerz koronny kołysze mnie w swoich starczych ramionach, całuje po staropolsku w usta i woła tubalnym głosem, że słyhać aż w całych Alejach Ujazdowskich:

– Kocham cię, kocham! Twój „Kolumbowie” to najpiękniejsza książka, jaką czytałem. Ach, napłakałem się, synu, nawzruszałem za całe życie. Jesteś czarodziejem, co ja mówię, geniusz, największy nasz pisarz, Romanie. Pozwól, że ci będę mówił po imieniu.

– Ależ bardzo proszę – powiadam z zimną krwią. – To dla mnie zaszczyt.

– Przepraszam, Romeczku, że tak obcesowo napadłem, po prostu nie wytrzymałem, kiedy ujrzały ciebie moje oczy. Zuch, zuch, człowiek ma ochotę żyć, kiedy czyta taką prozę.

– Bardzo panu dziękuję za miłe słowa, które będą dla mnie zachętą do dalszej pracy – mówię odrobinę wzruszony.

Wielki kanclerz bierze mnie poufale pod rękę.

– A nad czym teraz, Romusiu, pracujesz?

– Składam tom opowiadań.

– To wspaniale. Pisz tak dalej, kochany. Może przysiądziesz się do nas?

– Dziękuję, wpadłem tylko na moment, bo kogoś szukam – mówię skromnie. – Praca czeka.

– Pisz, pisz, cały kraj czeka.

Dostaję jeszcze buzi i jak złodziej, który nakradł się tyle, że nie potrafi unieść, prawie na czworakach wycofuję się ze Spatifu.

Kiedy indziej wspina się zamyślony po schodach Związku Literatów, idąc do biura oddziału warszawskiego. Wpada na mnie Zofia Bystrzycka (powieściopisarka, członkini egzekutywy). Łapie mnie za rękę z wyraźnym olśnieniem.

– Dobrze, że was spotykam – rzecze gorączkowo. – Nie byliście na ostatnim zebraniu egzekutywy...

– Nie mogłem, miałem chorobę w domu – powiadam melancholijnie.

– Jest, wiecie, taka sprawa z towarzyszem takim a takim. Musimy znać waszą opinię. To bardzo ważne.

– Wyrzucić – przerywam bezkompromisowo.

– Jak to, wyrzucić? – pyta zdumiona Bystrzycka.

– Wyrzucić i kropka. Nie będziemy się patyczkować.

Wtedy Zofia Bystrzycka zaczyna mi się przyglądać z rozpaczliwym napięciem. Jej przepastne oczy robią się coraz okrągłejsze.

– Och, och! – krzyczy boleśnie. – Przecież wy nie jesteście towarzyszem Drewnowskim! Och, och, pomyliłam!

I z wielkim szlochem ucieka w dół po schodach, a ja zostaję pogrążony w gorzkiej zadumie.

Wybrałem się do Zaiksu po jakieś zaświadczenie. Wchodzę do referatu literackiego trochę zażenowany swoją sprawą, lecz od razu spotyka mnie niespodzianka. Kierowniczką referatu, pani Kowalska, unosi głowę znad ksiąg i rozpromienia się na mój widok.

– Witam – mówi serdecznie. – Wszystko w porządku. Jest przygotowane.

Choć od dziecka karmiony szpakami, popadam jednak w radosną konsternację. Przeczula widać, kochany anioł, że przyjdę dzisiaj po zaświadczenie. Ale ze starego nawyku pytam dla pewności:

– Co jest?

– No przecież zleconko na pieniądze.

– Ale ja nie po pieniądze.

– Jak to, przecież pan wczoraj był i prosił, żeby na dzisiaj.

– Oj, widzę, że mnie pani z kimś pomyliła.

– No jak to pomyliła – śmieje się pobłażliwie pani Kowalska. – Przecież pan Witold Filler, prawda?

– Nie. Ja nazywam się Konwicki.

Pani Kowalska zastyga, a ja czekam spokojnie, aż się cała nasyci czerwienią.

– Bardzo pana przepraszam, najmocniej przepraszam – szepcze niewyraźnie.

– Ale za co? Jestem zaszczycony, że pani mogła mnie pomylić z tak znaczną osobistością, choć nie przez wszystkich lubianą.

– Boże, przepraszam pana, tak mi przykro – bąka zgnębiona pani Kowalska.

A ja dodaję nie bez przechwałki:

– Drobiazg. Mnie myślą, proszę pani, z Andrzejem Rumianem, satyrykiem, panem Kaliszem, filmowym inżynierem dźwięku, i z pewnym proboszczem warszawskiej parafii.

*

Jesteście pewnie ciekawi, jak się czuje taki facet średniego wzrostu, trochę przygarbiony, ani blondyn, ani brunet, w niewyraźnych okularach, z nijaką fizjonomią, bez urody, ale i bez wyraźnych ułomności. Jesteście pewnie ciekawi, co tam jest u takiego faceta w środku, jak on znosi, a właściwie nosi, albo jeszcze lepiej: jak on obnosi swoją powierzchowność, która was czasem brzydzi, czasem budzi rodzaj ulotnego współczucia, która na rozum kiedy indziej wyda się nawet sympatyczna.

Otóż, drogi powierniku, człowiek tak się z wiekiem przyzwyczaja do swojej zewnętrżności, że w końcu czuje się za nią odpowiedzialny, jakby ją kiedyś, w prapoczątkach, sam starannie i po długich namysłach wybrał. Ty też, miły powierniku, spoglądasz z przyganą na nieurodziwych bliźnich, żywiąc do nich niechęć za zły wybór, za zły gust.

Jak ja się czuję? Noszę tę powierzchowność niczym ubranie otrzymane z Unrry (amerykańska pomoc po wojnie). Mam do niej dystans jako do rzeczy nabytej z przydziału, którą ktoś mi kiedyś dał i ktoś mi kiedyś zabierze. To moja czapka niewidka. Zawdzięczam jej wiele dobrego.

Wydaje mi się jakby nie moja, jakby od kogoś pożyczona. Ale wcale też się jej nie wypieram, chętnie stoję w jej obronie, i to do upadłego, chociaż, szczerze mówiąc, tak bardzo mi na niej nie zależy. Czasem ją noszę z dumą, bo ulegam złudzeniu, że nosić ją jest ambitniej niż jakąś inną, czasem przyglądam się ze złośliwą satysfakcją, jak kogoś, na kim mi zależy, ni z tego, ni z owego odstręcza, czasem mnie rozgniewa i wtedy, żeby jej dokuczyć, wyobrażam sobie, że jestem bardzo wysokim smagłym brunetem o zniewalającym uśmiechu.

Krótko mówiąc, żyjemy ze sobą bez miłości, ale lojalnie, bez wzlotów i bez upadków, w pełnej rezygnacji symbiozie, na zasadzie zrozumienia nieuchronnych konieczności biologicznych i metafizycznych.

*

Jest pewna intymna i drażliwa sprawa. Wzdragam się od dawna, czy ją kiedyś poruszyć, czy warto w ogóle do niej wracać, czy ma jakieś znaczenie dla mojej biografii, dla mojego samopoczucia.

Ale jednak chyba ma, skoro tyle lat o niej pamiętam oraz często o niej myślę. I nie jest to tylko problem tożsamości, samookreślenia czy jakiejś innej figury albo pozy literackiej. Po prostu ta sprawa wygląda bardzo tajemniczo i jak każda tajemnica nie daje spokoju.

Mój ojciec był nieślubnym dzieckiem. Jako kilkunastoletni chłopiec, grzebiąc w starych rodzinnych papierach, odkryłem ten fakt, na owe czasy zdumiewający i budzący zgrozę. Znalazłem starą, żółkłą metrykę ojca, który już nie żył od wielu lat, i w tej metryce wyczytałem jego wstydliwą tajemnicę, tak prosto wyjaśniającą jego dramatyczny los.

Mój ojciec był nieślubnym synem jakiejś szlachcianki z wileńskiej prowincji, co nazywała się Konwicka. I ja noszę nazwisko mojej babki i nigdy już nie będę wiedział, kto był moim dziadkiem.

*

Rzecz jasna, wiele razy próbowałem się dowiedzieć prawdy. Ale kiedy byłem mały, zbywano mnie łajaniem, kiedy dorosłem, matka, którą zresztą rzadko widywałem, robiła zawsze wielkie oczy, udawała, że nie rozumie, o co mnie chodzi. A dokumenty dawno się pogubiły podczas pielgrzymek ostatniej wojny.

Dodatkową dziwnością tego przypadku jest taka zastanawiająca okoliczność, że nigdy nie spotkałem krewnych ze strony ojca, że pamięci o nich nie przechowały żadne wspomnienia rodzinne, że nigdy nikt o nich nie mówił.

Mój ojciec, Michał Konwicki, w wieku coś dziesięciu lat rozpoczął samodzielne życie. Kiedy miał dwanaście lat, pracował już chyba w jakiejś fabryczce i rozpoczynał pracowite wspinanie się po drabinie społecznej, mozolne wdzieranie się stopień za stopniem po spróchniałych schodach zacofanej społeczności odległej prowincji wschodniej. A te degradacje i ponowne kariery rodzin polskich na Wileńszczyźnie były sprawą codzienną, były właściwie tamtejszym obyczajem.

Mój ojciec miał pięćdziesiąt lat, kiedy się urodziłem. A ja miałem trzy lata, kiedy on umarł. Jestem dzieckiem spłodzonym w starości. Bo pięćdziesięcioletni mężczyźni nie nosili wtedy dżinsów i nie chodzili do dyskoteki. Pięćdziesięcioletni mężczyźni umierali wtedy jako zgrzybiali starcy na gruźlicę, anginę pectoris albo uremię.

*

Kim był ojca ojciec, kim był mój dziadek? Z kim moja babka, Maria albo Helena – bo już dobrze nie pamiętam – z kim moja babka Konwicka miała grzeszny romans zakończony tak niefortunnie?

Gdyby ta miłość – a zakładam miłość, bo czasy były spokojne i sposobne ku temu – zdarzyła się w jej własnej sferze szlacheckiej, choćby nawet najuboższej, to przecież znalazłaby finał w małżeństwie, trochę opłotkowanym, dwuznacznym, ale

jednak małżeństwie. Dlaczego los mego ojca był losem wyrzutka, przeklętego bastarda, bezdomnego psa?

Staralem się tysiące razy wyobrazić sobie swojego dziadka. Dlaczego w czasach honoru nie mógł postąpić honorowo? Co przeszkodziło mu w ożenku i uznaniu dziecka? Jakie tabu narodowe, klasowe czy religijne uniemożliwiło mu najprostsze wyjście z dramatycznej sytuacji w tym anachronicznym mikroświecie Wileńszczyzny w drugiej połowie XIX stulecia? Jakie przekleństwo zawisło nad nieznaną kobietą i nowo narodzonym dzieckiem? Co kazało wyrzec się tego dziecka na zawsze?

*

Kiedy rozczytałem się któregoś dnia w „Wojnie żydowskiej” Feuchtwangera, zrozumiałem raptem, że jestem Żydem, i poczułem się Żydem. Usłużna wyobraźnia podsunęła mi natychmiast obraz dziadka, którym był młody piękny Żyd z Oszmiany, Mejszagoły albo Święcian. Młody Żyd, kupiec wędrowny, uczony talmudysta lub poeta piszący nostalgiczne wiersze w strasznym żargonie jidysz. I zrozumiałem szalone świętokradztwo miłości mojej babki, i zrozumiałem okrutne fatum, które jak gradowa chmura okryło życie ojca i trochę moje życie. I stałem się odrobinę wzniosły, nieziemski, dosyć bliski świętości.

Ale potem Żydzi mnie zdenerwowali, a właściwie zdenerwowali niektórzy koledzy, i przestałem się czuć Żydem, i od tego czasu raczej rzadko czuję się Żydem.

A inne hipotezy objaśniające moje pochodzenie już mi się wydają nie dość romantyczne, ubogie w tragizm, pozbawione pierwiastków piekła i boskości.

*

Moja matka była chorowita, często też wynajmowała się do pracy, w której dziecko mogło być ciężarem. Wobec tego, jak to często zdarzało się w naszych stronach, zostałem oddany na wychowanie. Brali mnie kolejno do siebie różni wujkowie, ciocie, babcie cioteczne albo inne. Mając trzy albo cztery lata, wyruszyłem w długą wędrówkę po świecie. Najpierw po ogromnym świecie zaścianków i miasteczek Wileńszczyzny, później po skarłałym świecie zdychającej Europy.

Wszystko to byli krewni mojej matki. Jakieś poplątane, rozrosłe na wszystkie strony, skłębione niczym liany wielkie drzewa genealogiczne Kieżunów, Pieślaków, Blinstrubów, Wieszunów, Sworobowiczów i przeróżnych innych dziwnych nazwisk, brzmiących dzisiaj trochę niesamowicie, i litewsko, i białorusko, i może nawet prusko, ale ozdobionych klejnotami szlacheckimi, które coraz śpieszniej odchodziły w zapomnienie.

Więc jako sierota ruszyłem w życie uczyć się życia. I nauczyłem się wielu umiejętności. Nauczyłem się żyć cudzym życiem, a zatem żyć w stanie mimikry. Nauczyłem się, jak być lubianym, to znaczy, jak słuchać, nie słuchając, jak być posłusznym, nie będąc posłusznym, jak kochać, nie kochając. Nauczyłem się, jak brać udział, nie angażując własnych sił, jak kibicować bez emocji. Nauczyłem się samotności w gromadzie ludzkiej. Nauczyłem się trwania.

O nie, nie miałem trudnego dzieciństwa. Moje dzieciństwo było łatwe. Prześlizgiwałem się jak kielbik między tragicznymi ostatecznościami. Byłem skrzelodyszny i płucodyszny. Radziłem sobie i w wodzie, i na suchym piasku.

*

Zdążam sobie dzisiaj warszawską ulicą, myśląc jak zawsze o tym samym, aż tu widzę wychodzącego z gmachu komitetu partii jakiegoś sympatycznego pana. Mężczyzna ten ma na głowie futrzaną czapeczkę, otula go ciemny płaszcz ortalionowy podbity misiem. W dłoni dzierży czarną teczkę obficie wypchaną. Patrzę na niego mocno wstrząśnięty i raptem doznaję olśnienia. Nagle spostrzegam, że choć jesteśmy z jednego gatunku, dzieli nas przepaść rasy. Że ten pan w średnim wieku, zapewne wzorowy aktywista, różni się pod względem antropologicznym ode mnie i od innych ludzi na ulicy.

Bo proszę spojrzeć na jego głowę, zupełnie odmienną od mojej. Jest ona dość duża, okrągła, ze sporą grzywą mocno kędzierzawych i mocno rzadziejących włosów. Proszę spojrzeć na jego silnie owalną twarz skłoną do zaczerwienień i jakby lekko podpuchniętą. Proszę spojrzeć na jego sylwetkę, dosyć krępą, ale niewysoką, taką mocno w sobie. I koniecznie proszę spojrzeć na jego ręce, te ręce są krótsze niż normalnie i jakby nieprzylegające do tułowia. Tak właśnie wygląda na ogół aktywista partyjny w Warszawie, w Puławach czy w Szczepku.

Oczywiście z krzykiem każecie mi skreślić poprzednie akapity, ale ja przecież chcę dobrze, mówię to absolutnie w dobrej wierze.

Dlaczego mamy uważać obrzydliwie długie, niespracowane dłonie za piękne i nazywać je rasowymi? Dlaczego mamy podziwiać haczykowate nosy oraz chude policzki i mienić je arystokratycznymi? Dlaczego kościste sylwetki pozbawione mięśni, tej siły motorycznej ludzi pracy, dlaczego takie sylwetki mamy określać jako wytworne?

Dlatego, że owe ideały piękna narzuciły nam w ciągu wieków klasy rządzące, a przede wszystkim magnateria. Wydają się nam one rasowe, arystokratyczne i wytworne jedynie z niewolniczego przyzwyczajenia.

Przypuszczam, że już niedługo, może najwyżej za dziesięć lat, widząc dłoń o krótkich, grubych palcach, będziemy mówili: patrz, jaka rasowa ręka, obserwując lekko podpuchniętą po bankiecie twarz, szepniemy: patrz, co za arystokratyczne oblicze, śledząc korpulentną postać z krótkimi rękami, westchnie niejeden z nas: Boże, taką wytworną sylwetkę posiadać...

*

Noc. Coraz więcej nocy, coraz mniej dni. Zawsze bałem się ciemności, jak wszyscy, teraz boję się inaczej. Dzień wypełniony intensywnymi widokami, zamulony trochę przydługim filmem utworzonym z żywych obrazów, filmem, w którym dosyć rzadko skoczy do przodu jakiś urywek akcji, taki dzień jednak zagłusza. Rozbłutuje mozolnie świadomość. A noc wstrzymuje jej chaotyczny, huśtawkowy ruch i powoli zamraża w szklistą bryłę. I nie ma już ruchu, nie ma migotania fałszywych oraz prawdziwych cieni, nie ma barw i antykolorowych powidoków, nie ma iluzji i omamień. Jest tylko ciasny ból zaciskającej się stabilności, jest tylko lodowatość trwania, które, nie daj Boże, okaże się wieczne, jest tylko męka obcowania z własną nachalną świadomością.

Dobranoc, robaczki.

Czasami zderzymy się na króciutki moment wzrokiem, czasem otrzemy się przypadkiem o siebie w ciasnym przejściu, czasem zobaczymy siebie z daleka i natychmiast przejdziemy na drugą stronę ulicy. Ale najczęściej czuję jego obecność plecami, karkiem, tyłem głowy. Czuję jego obecność jak otwartą lodówkę.

Bo nienawiść nie jest gorąca, upalna, nie ma temperatury płomieni czy żaru. Nienawiść to mróz, lód, to przejmujące zimno Arktyki podpływające do nas niespodzianie.

Bardzo często ogarnia mnie taki przelotny i zaskakujący podmuch zamrażalnika, choć wszyscy mi wmawiają, że jestem lubiany. Nieraz wiem, co stało się przyczyną tej przejmującej i pleniącej się wytrwale nienawiści. Kiedy indziej jest ona dla mnie niezrozumiała, ma cechy szczególnej bezinteresowności, wygląda na kaprys jakichś sił wyższych.

Przylazł w knajpie do twego stolika, wtrącił się bardzo nie w porę, ledwo trzymający się na nogach, rozbawiony wypitą wódką, lewitujący w amoku samodurstwa, rozhamowany do końca swoją godziną boskości, więc wlał ci na głowę, ślini ci policzki, tarza się w sałatkach na stole, spada z krzesła i cały czas truje maniakalnie, pieprzy w kółko o sobie, stawia jakieś wymagania, czegoś chce, co już jest poza zasięgiem zniedołężniałej, narkotycznej osobowości, wzbija się w niebo jak stara gęś i spada ciężko na podłogę jak stara gęś, której zdało się, że jest łabędziem. Jeśli powiesz ostrzejsze słowo, aby odszedł i nie nachalił, odejdzie, siądzie w kącie i już zacznie natychmiast proces hodowania nienawiści, wysiadywania nienawiści jak zgniłych jajek. Bo musisz go kochać i podziwiać w całokształcie, w chmurach i w rynsztoku, w skowronkach i w zaskorupiałych resztkach sosu, w bąbelkach szampana i w szczynach.

Albo inny, taki co wchodzi z tobą w niepożądaną poufałość. Coś mu tam zaświadczyłeś, coś mu tam w chwili fantazji podkadziłeś, coś mu tam z nudów pomogłeś, a on ci już w permanencji funduje poufałość. Już sobie wyroił braterstwo dusz, już sobie wykombinował jakąś wspólnotę duchową, już się zobaczył twoim bratem syjamskim. Więc wykorzysta zaraz te niewczesne majaczenia do jakichś gier psychologicznych z tobą. To cię ukąsi znienacka poufale, to się popisie przed innymi, dając ci pstryczka w nos, to cię poklepie szyderczą, dwuznaczną czułością, kiedy wcale na to nie masz ochoty. I nie daj Boże, żebyś w takiej chwili warknął: odpierdol się. Zastygnie jak żona Lota, odezwie się w nim natychmiast terkot sprężarki produkującej wielki mróz nienawiści.

Może więc embrion nienawidztwa drzemie na dnie miłości własnej? Może to nienawiść jest odwróconym obrazem, czyli negatywem nieszczęśliwego zakochania w samym sobie? Może zatem orgazm wieńczący narcystyczny samogwałt daje tak straszliwy wytrysk nienawiści?

Dobrze, ale co z tymi, którzy nienawidzą bezinteresownie, pozaziemsko, wzniosłe jak prawdziwi poeci?

W tym momencie ogłaszam upadłość, kompletną plajtę. Tego ani ja, ani nikt ze śmiertelnych nie potrafi wyjaśnić naukowo. Taka nienawiść, krystalicznie czysta, jest piękna, jest wzniosła. W swojej szlachetnej ascezie, w swoim abstrakcyjnym pięknie podobna jest do cnoty namiętnego skąpstwa u obywatela w komunistycznej społeczności.

A może mnie się tylko wydawało, że nienawiść musi mieć jakieś realne i przyziemne powody? Może nienawiść to cudowny kwiat, który wyrasta nagle, gdzie chce, może nienawiść to odurzająca samosiejka, może nienawiść to ów plankton

oceaniczny, który kiedyś ocali ludzkość przed zagładą? Może nienawiść rodzi się sama z siebie i karmi się sama sobą? Może nienawiść pcha nas do przodu i dźwiga w górę, może nienawiść zawlecze nas w końcu na ten brzeg przepaści, z którego zobaczymy skończoność nieskończoności?

*

Ciągle nie mogę zapomnieć Wilhelma Macha, choć wkrótce minie dziewięć mozolnych, niestrawnych, a dla mnie przy tym jakoś przełomowych lat. I nie mogę zapomnieć nie tylko dlatego, że nauczył mnie pisać po polsku, że wyciągnął z dna i pchnął w środek życia, że był człowiekiem, którego potocznie nazywa się przyjacielem. Nie mogę go zapomnieć, ponieważ był dziwnym człowiekiem, a ta jego dziwność nie daje mi spokoju.

Poznałem go w Krakowie jesienią 1945 roku. Zapisalem się właśnie na Uniwersytet Jagielloński i jako bezdomny, ubogi, ciemny Litwin usiłowałem wkręcić się na waleta do bursy studenckiej, kierowanej przez prof. Pigionia. Mach mnie tam zobaczył któregoś wieczora, kiedy szukałem legowiska na jakimś korytarzu. Sam miał już komplet w swoim pokoju, więc nadał mnie Stanisławowi Frybesowi (dziś profesor, polonista), który wtedy kończył studia, a może już nawet był asystentem. Więc wciągnąłem tam siennik i na podłodze kwaterowałem kilka miesięcy, zanim znalazło się oficjalne i w pełni wygodne miejsce.

Później, na początku 1946, Mach zaprotegował mnie do „Odrodzenia”. Karol Kuryluk przyjął mnie na korektora i od tego momentu zaczęła się moja kariera życiowa, którą Mach dozorował z sąsiedniego pokoju, ponieważ redakcja „Odrodzenia” i redakcja „Twórczości”, gdzie Mach pracował, mieściły się w jednym lokalu na Basztowej.

Już mnie nudzi to wspomnieniowe opisywanie, ale muszę jednak przytoczyć trochę faktów, gdyż są ważne dla całości. A więc chyba pół roku później Zbigniew Bieńkowski, sekretarz „Odrodzenia”, wyjechał na stypendium do Francji. Obaj z Machem objęliśmy opuszczone czasowo mieszkanie Zbyszka na ulicy św. Teresy. Mieszkaliśmy tam do 1947 roku w nadzwyczajnych luksusach: były dwa wspaniałe, słoneczne pokoje, była kuchnia, była łazienka.

Ja jeszcze niedawno chciałem koniecznie polec za ojczyznę, jeszcze niedawno błąkałem się po białoruskich puszcach z bronią w rękach, a właściwie na plecach, jeszcze niedawno świat kończył się dla mnie na drugim brzegu Niemna. I taki właśnie trochę dziki, trochę tępawy, trochę ogłupiały wkraczałem pod opieką Macha na posadzki salonów powojennego Krakowa. Na domiar tych wszystkich nieszczęść opanowała mnie histeria religijna. Chciałem zostać księdzem, chciałem zostać zakonnikiem, chciałem zostać świętym. Co rano gnałem do kościoła Mariackiego albo do kościoła na Piaskach, aby służyć do mszy. A trzeba dodać, że byłem wytrawnym, doświadczonym ministrantem z twardej, wileńskiej szkoły księdza Pereświat-Sołtana. Z pobłażliwością spoglądałem na amatorskie poczynania innego ministranta, który pojawiał się w kościele na Piaskach. Był nim młodzieńki maturzysta z Radomia, Andrzej Wasilewski (krytyk, działacz).

Mach przeżywał w tym czasie swoje najpiękniejsze lata. Pojawił się jak meteor na krakowskim niebie na przełomie wojny i pokoju. Pierwsze numery „Twórczości” przyniosły jego fascynujące, zdumiewająco dojrzałe eseje i chyba fragmenty debiutanckiej powieści „Rdza”. Chłonna, wyposzczona, chciwa życia socjeta krakowska przywitała go jak młodego księcia. I jego los w tym czasie przypominał żywot wielbionego następcy tronu albo ukochanego, młodzieńkiego świętego. Wystarczy chyba wspomnieć, że Wilek na drugim roku polonistyki zrobił już pełne,

formalne i prawomocne magisterium. Dla porównania dodam, że mnie się ta sztuka nie udała nawet po czterech uciążliwych latach studiów.

A więc Wilek Mach żeglował w obłokach. Każdy jego nowy artykuł, każdy esej, każdy wiersz (pisał nawet wiersze!) były rewelacją, ogólnokrakowską sensacją. Wyglądało, że wielbicieli, wyznawcy i przyjaciele rozerwą go na sztuki, zacałują na śmierć, zadepczą na wieczność. Niesiono go w wyciągniętych do góry rękach z bankietu na bankiet, z wieczorku na wieczorek, z sanktuarium do sanktuarium. Otaczały go całe roje dziewcząt, kobiet i starych rozwydrzonych bab. Wszystkie się w nim kochały i wszystkie chciały za niego wyjść za mąż.

Ja byłem po trosze sublokatorem, sługą, uczniem. Wiem, że przypominałem mu kogoś i dlatego pchał mnie też do góry, i dlatego od czasu do czasu wpadał w furję, chcąc mnie uderzyć. Przypominałem mu chyba jego samego, kiedy z rzeszowskiej wsi wędrował na podbój świata do cesarsko-królewskiego Krakowa.

Umiałem wtedy dobrze spać. Potrafiłem spać całą noc w partyzanckim marszu, kiedy robiliśmy za jednym zamachem dwadzieścia, trzydzieści kilometrów. Pewnego ranka koło dziewiątej rano Wilek wrócił z kolejnej birbantki. Najpierw dzwonił, potem kopał wściekle drzwi, wreszcie myśląc, że umarłem albo w ogóle uciekłem, poszedł szukać dozorczy. Wrócili z łomem i zaczęli wyważać drzwi. Wtedy trochę się rozbudziłem. Nieprzytomny ze snu wtoczyłem się do korytarza, żeby w ostatniej chwili podtrzymać padające drzwi. No i Wilek przez moment chciał mnie zabić.

Oczywiście tak mi się ładnie i dramatycznie napisało: zabić. Mach nigdy w całym swoim życiu nie potrafił zrobić nawet najdrobniejszej przykrości. Przekleństwem jego życia była dobroć. Dobroć wyżyłowywana do końca, dobroć bezczelnie oszukiwana, dobroć codziennie wyśmiewana. Ta dobroć to była jego błazeńska czapka. Ta dobroć to było jego szambo upokorzeń. Ta dobroć mogła być początkiem artystycznej impotencji.

Zbyt się dręczę jego dziwnym i tajemniczym losem, żebym pozwolił sobie na niedomówienia, na ciepłe kluski czułościowych wspomnień, na pseudoprzyjacielskie głątwy. Otóż Wilek – nie wiem, jak to nazwać, żeby nie wypadło plugawie – borykał się chyba już wtedy z pierwszymi objawami ułomności, nie ułomności, odchylenia od normy, nie odchylenia od normy, słowem czegoś takiego, co dziś już świat sankcjonuje i podchodzi do tego z pewną powagą, a co wtedy uchodziło jeszcze za przerażające, tragiczne, nieludzkie. W krakowskich czasach o tym jeszcze nie wiedziałem, lecz kiedy dużo później wiedziałem, to nic już nie mogłem pomóc i nie wiem w ogóle, czy można i trzeba pomagać.

On pochodził z bogatej, jak się zdaje, wsi rzeszowskiej, ja z biednego zaścianko-miasteczka wileńskiego, on znał cudownie język polski, był cały nasycony jak miodem polszczyzną Kochanowskiego, Reja, Krasickiego, ja gdakałem wolapikiem polsko-litewsko-białorusko-rosyjskim, on szybował jak myszółów pod chmurami, ja czołgałem się mozolnie przez rynsztoki pełne pomyj. A jednak wydaje mi się, że coś niewielkiego zrozumiałem z jego tragicznej szamotaniny życiowej, która skończyła się, a może tylko pozornie skończyła się pewnego letniego świtu na tyłach modnego kina „Luna” w Warszawie.

Bo niczym detektyw dręczony wyrzutami sumienia stale przebieram się w jego zewnętrzną cielesną taką, jak ją znałem, chowam w zanadrze te jego szyfry psychologiczne, nerwice, neurozy i jedwabiste strzępy tej dziwnej materii, co ją nazywamy duszą, i w tym przebraniu, w tym cudzym domniemanym jestestwie próbuję jeszcze raz na nowo przejść jego szlakiem, jego drogą, jego gólgotą.

Wydaje mi się, że to jego rozdarcie, o którym wspominałem, a którego nie chcę i nie będę nazywać, że to jego rozdarcie, którego się na początku wstydził, później nie

wstydział, a na koniec może nawet był gorzko dumny, że to jego rozdarcie-nierozdarcie bardzo zaważyło na losie i na pracy, choć na pewno do końca nie zdeterminowało.

On z roku na rok tracił siłę, tracił drapieżność, tracił geniusz. Tracił trochę świadomie i trochę nieświadomie. Tracił świadomie, jakby na przekór, na złość sobie, i tracił nieświadomie, gubiąc po drodze z rozluźniającej się powoli jaźni.

Wszystkie jego książki były piękne, po swojemu piękne, i mam nadzieję, że zostaną na zawsze w naszej literaturze. Ale są one piękne podobnie jak są piękne inne książki współczesnych. A ja przecież widziałem, słowo honoru daję, na własne oczy widziałem, jak zaczynało się w nim rozjarzać, jeszcze wtedy, w krakowskim okresie, fosforyzujące, tajemnicze, nieziemskie światło, jak drgało konwulsyjnie, jak wzbierało nienaturalną mocą, żeby raptem eksplodować rozbłyskiem – darujcie, przepraszam – geniuszu, choć ja już dzisiaj dawno nie wierzę w geniusz człowieka i z trudem sobie przypominam tę jego odległą zapowiedź. Ale nie było eksplozji. Mach skarłał do wymiarów świetnego pisarza, który jednych zachwyca, a drugich nudzi.

A teraz druga sprawa. To nieprawda, że Wilek Mach nie był zły, nie miał w sobie złości. Miał on straszną, dziką złość, ale nie do ludzi. Miał on potężny instynkt agresji, ale przeciwko komuś albo czemuś, co było dla nas niewidzialne. Miał on chyba wielki konflikt z braćmi swego gatunku, ale nie był to gatunek ludzki. Bo nas kochał jak zwierzęta, jak dla zwierząt był czuły, wyrozumiały, sprawiedliwy.

Noc była jego dniem. W nocy dopiero widział kształty, kolory, perspektywy. Księżyc był jego słońcem. Według naszych pojęć cierpiał na bezsenność. Lecz naprawdę rzeczywiście działał, pracował, żył tylko w nocy. O którejś porze wstawał od stołu i wychodził. Znikał na długie godziny, pojawiał się dopiero rano, gdy dzień już był w pełni. Kiedy pytałem go o tę nieobecność, używał żargonu pijaczka, który chodzi w Polskę. Ja mu nie wierzyłem. Kiedyś w Krościenku, gdzie z Kawalerowiczem i ze mną pisał scenariusz, jednej nocy znowu wybył jak lunatyk mimo naszych protestów. Wrócił rano o dziewiątej, a jego staromodny, gabardynowy płaszcz letni ociekał krwią. Sam był zdrow i cały. Powiedział nam, że w Szczawnicy pomagał wyładowywać z samochodu-chłodni tusze wieprzowe. Przyjąłem to do wiadomości bez większego przekonania.

Poza tym pierwszym okresem krakowskim przyjaźniłem się z Machem na odległość. To znaczy spotykaliśmy się nie za często i tylko w sytuacjach towarzyskich. To znaczy wiedziałem, że on jest, że mogę polegać na nim, wiedziałem, że ktoś bardzo bliski istnieje w moim życiu.

Przegapiłem jego noc. Może w nocy odczuwał ambicje, których nie znał za dnia, może w nocy próbował spisać swoją najszczerzą spowiedź, którą palił w dzień, może w nocy spotykał swoich braci, którzy później razem z nocą odchodzili do swoich nieznanych gniazd?

Nie wierzę w jego śmierć na brzegu lipcowego dnia. Nie wierzę w jego skonanie na plugawym skrawku naszego wspólnego życia. Ja naprawdę czuję jego obecność, jego dobre, rozumne, współczujące istnienie. To jedyny przypadek, kiedy nie odczuwam zabobonnego lęku przed umarłym, przed duchem, przed upiorem. Rozmawiam z nim od czasu do czasu i rozmawiam o nim, słysząc jego słuch, czasem go proszę o jakąś pomoc i wiem, że mi na pewno pomoże, jeśli to jest wykonalne, a najczęściej szukam otuchy w tej pewności, że przecież on istnieje i owo jego istnienie obłaskawia jakoś straszne niewiadome, które czyha na nas w trupim woalu nieskończoności.

Naprawdę to nie figura stylistyczna. Naprawdę wcale nie zatokowałem się w literackich egzaltacjach. Właśnie zbliża się północ, ta strasza pora, której w mojej młodości lękali się wszyscy, i katolicy, i prawosławni, i starozakonni. Nigdy bym sobie nie pozwolił na lekkomyślność. A tu, widzicie, piszę sobie o sprawach, o których

strach nawet myśleć, i słucham nocy, i słucham siebie, i słucham tego wszystkiego, co niewidoczne, co niewidzialne. I wcale mi nie zależy, abyście koniecznie wierzyli. Zapisalem cząstkę tego, co wiem, co przeczuwam o Wilhelmie Machu, czcigodnym pisarzu i starej ciotce, księciu sublimowanej wrażliwości i pijaczku warszawskim, świętym nieziemskiej dobroci i błaznie szemranych salonów.

Kiedyś, nudząc się razem z nami, chciał przypochlebić naszej nudzie, naszej codziennej gnuśności, naszym wszystkim do kupy zebranych niemożnościom i ułożył taki wierszyk:

Dzień za dniem powoli mija
coraz dłuższa życia szyja
wszystko wokół się pierdoli
my w niewoli my w niewoli

*

Nie, nie będę was karmił jedynie dygresjami, wspominkami albo raptownym, nieproszonym patosem. Akcja już jest blisko, fabuła ociera się o moje nogi jak kot, tylko po nią sięgnąć. Wspaniałą dramaturgię gotuje nam czas i nasze życie w nim umieszczone. Przelatuje właśnie kometa, co prawda trochę niezdecydowana i jakby lichtsza od oczekiwanej, ale przecież prawdziwa kometa, może ta sama, która zaświeciła kiedyś w oczy Mićkiewiczowi spod Nowogródka. Pokazują się więc znaki na niebie i na ziemi obiecujące sporo wrażeń. Wróżbici przyrównują ten rok do 1914, inne wieszczki nazywają rokiem przełomu w dziejach ludzkości. Coś się szykuje, coś wrze jak na dnie wulkanu, coś stęka jak przed porodem. Ale mnie się zdaje, że to rośnie w nas samych, że to w nas nastąpi ten wybuch, co siedmioma plagami spadnie na grzeszny świat.

No i bardzo dobrze.

*

Chciałbym umieć tak pisać, żeby nie trzeba było pisać pewnych słów rozstrzelonym drukiem albo tłustym drukiem, żeby nie trzeba było stosować wykrzykników, żeby nie trzeba było używać wielokropków. Jednym słowem – jak powiada Kuśmierek (reportażysta) – chciałbym, żeby moje marzenia były piękniejsze, niż są.

No i bardzo dobrze.

Postanowiłem notować rekordy. Ale nie będą to rekordy temperatury, klęsk życiowych czy hoss na giełdzie nowojorskiej. Postanowiłem zapisywać szczególne osiągnięcia moich przyjaciół w dziedzinie roztargnień pospolitych i roztargnień klasycznych. Bo roztargnienie to poezja w uczynkach.

Moim ulubionym faworytem jest Aleksander Chylak, jeszcze młody, jeszcze zdolny architekt, trochę mizantrop i trochę pieszczoch, który popada w depresję, jeśli przez trzy tygodnie z rzędu nie otrzyma jakiejś nagrody na konkursie architektonicznym. Olek Chylak jest z urodzenia Ukraińcem i unitą, a wygląda jak zasmucony święty z lemkowskią ikoną. Wzenił się Olek w zacny, staropolski dom państwa Miklaszewskich (znany grafik). Podejrzewam przy tym, że Chylakowie wywodzą się z polskich chłopów zbiegłych w dawnych wiekach na Ukrainę, a Miklaszewscy pochodzą od starodawnych bojarów ukraińskich.

Najpiękniejsze trofeum Olka odnotowałem już kiedy indziej. Tutaj przytoczę drobniejsze, ale też smakowite i sprawiające radość znawcom.

Otóż pewnego dnia Olek Chylak zdecydował się poprosić o rękę Maryny Miklaszewskiej. W tym celu nabył spory bukiet kwiatów, nałożył ciemne ubranie i wyczyścił buty. Tak przysposobiony pojechał na Żoliborz do domu narzeczonej.

Te oświadczyzny były oczekiwane od dość dawna. Pan domu czyhał zatem na piątku, również w czerni, z flaszką okowity, a pani Miklaszewska przyjęła zalotnika z tajoną niecierpliwością. Olek położył kwiaty gdzieś w kącie, sam rozsiadł się za stołem i popadł w zamyślenie. Przyszła teściowa próbowała naprowadzić rozmowę na pożądany temat, lecz gość zupełnie nie kwapił się jakby w tę stronę. Owszem, rozmawiał grzecznie o tym i owym, ale nic więcej. Po paru godzinach straszliwej męki i okrutnego oczekiwania, które przeżywał cały dom, zrozpaczona pani Miklaszewska postanowiła zagrać *va banque*.

– A co to Olek dziś taki uroczysty? – spytała. – Nawet ciemne ubranie nałożył. Może Olek chce prosić o rękę Maryny?

– A właśnie – Olek uderzył się dłonią w czoło. – Zupełnie zapomniałem.

I runął do stóp teściowej. Z tym runięciem może troszkę przesadzam, ale pewne jest, że udało się w końcu wydobyć z delikwenta stosowne oświadczyzny.

Jeszcze przedtem, w okresie konkurów, pani Miklaszewska poprosiła raz Olka, żeby wyniósł śmiecie. Posłuszny Olek wziął bez ociągania kubełek, wyszedł z domu, wsiadł do autobusu i pojechał ze śmieciami na Politechnikę.

Ostatnio Olek dostał polecenie, żeby wyprowadzić psa na spacer. Z ochotą ruszył na ten spacer, siedł cierpliwie od drzewa do drzewa, od latarni do latarni, aż wreszcie po kwadransie uświadomił sobie, że zapomniał psa w domu.

Poważne sukcesy osiągnął też Kuba Morgenstern (reżyser filmowy, mój przyjaciel). Kuba specjalizuje się w roztargnieniu podróжным. Na przykład wraca z Łodzi do Warszawy pociągiem. W Warszawie wysiada, stawia walizkę na peronie i spokojnie odchodzi do domu. Albo jedzie do Łodzi z parasolem, którego żona kazała szczególnie pilnować. Więc pilnuje go, pilnuje, żeby na koniec zapomnieć w pociągu. Później w Łodzi miota się po sklepach, znajduje wreszcie parasol identyczny, kupuje go i z triumfem wkracza do pociągu spokojny o swoją przyszłość. Oczywiście w Warszawie wysiada mocno zamyślony i bez parasola, który samotnie rusza w dalszą drogę do Elku.

W specjalności podróźniczej zaznaczył się ostatnimi czasy również Ryszard Matuszewski (krytyk). Wracał on z delegacją polskich literatów samolotem „Aeroflotu” z Moskwy. Na lotnisku warszawskim, kiedy samolot podkołował do

dworca i kiedy przystawiono schodki, pasażerowie zaczęli opuszczać wnętrze samolotu. Tylko Matuszewski został na swoim miejscu, kręcąc się niespokojnie w fotelu. A gdy ostatni z kolegów zniknął już w wyjściu, Ryś nie wytrzymał i zaczął krzyczeć rozpaczliwie:

– Ratunku! Czekajcie, pomóżcie! Coś mnie trzyma i nie mogę wyjść!

Wtedy podeszła uśmiechnięta stewardesa.

– Proszę odpiąć pasy bezpieczeństwa, towarzyszu – powiedziała grzecznie.

W kategorii juniorów startuje czasem Stanisław Dygat. Ale jego debiutanckie przypadki nie zasługują jeszcze na uwagę. Ot na przykład weźmie rano swój zegarek, nakręci go machinalnie, wyreguluje, a potem wrzuci do kosza na śmieci.

Roztargnienie to pokrewieństwo z Panem Bogiem. Jeśli Pan Bóg istnieje i ma poczucie humoru.

*

Kilka lat temu zwrócił się do mnie z ankietowymi pytaniami białoruski periodyk „Niwa” wychodzący w Białymstoku. Bez złej intencji, z całą dobrą wolą, ale z niewiarygodnej gnuśności nie odpowiedziałem na te pytania. Ucieszyłem się tą ankietą, bardzo mi ona konweniowała, szykowałem papier i pióro, zbierałem się tydzień i drugi, lecz w końcu nic nie napisałem. A pytania brzmiały, o ile dobrze pamiętam: jaki wpływ na moje pisanie wywarła Białoruś i co zawdzięczam Białorusi.

No i teraz nagle pośrodku zimy, dziwnej zimy przemieszanej z wiosną albo z jesienią, zimy złej dla starych ludzi i dla sercowców, zimy-chałtury, zimy-braku, zimy-odrzuć eksportowego, teraz raptem zachciało mi się odpowiedzieć na tę ankietę, o której już pewnie zapomnieli nawet jej organizatorzy.

Co zawdzięczam Białorusi? Zawdzięczam jej to, że do dziś nie umiem dobrze pisać po polsku, że na zawsze zbakierowała mi ucho, że swoją melodyką zagłuszyła tę piastowską, sandomierską czy kielecką intonację, której ucę się, ucę się i nigdy się już nie nauczę. Zawdzięczam jej ową nostalgię, która mnie chwyta za resztki włosów pośrodku białego dnia w Warszawie, w Paryżu czy na Manhattanie. Zawdzięczam jej ten przejmujący niepokój, który mnie gdzieś gna, gdzieś gna, choć stoję w miejscu, dokądś gna, dokąd boję się dotrzeć, ale w końcu muszę dotrzeć.

Białoruś, Białoruś. Dlaczego nazywasz się Białoruś, jeśli nie masz w sobie bieli, jeśli bielą twoją są rude rżyska jesienne, jeśli bielą twoją są postawy szarego płótna wyłożone na słońcu, jeśli bielą twoją jest gorący pot umęczonych ludzi. Powinnaś się nazywać Dobroruś, powinnaś się nazywać Dobrą Ziemią Dobrych Ludzi.

Moje oczy są pełne Białorusi. Patrzę na Prowansję i widzę pagórki spod Oszmiany. Patrzę na Dunaj i widzę Niemen, widzę zamglony łagodnym smutkiem drugi brzeg Niemna. Patrzę na autostradę w Los Angeles i widzę sannę pod Gudogajami, słyszę łomot pacyn śniegu, czuję ostry zapach końskiego potu, przeczuwam czerwone okienko samotnej chaty pod pagórem bogatego śniegu, jedyne go i prawdziwego bogactwa tej ziemi.

Po jakimu ja w dzieciństwie mówiłem? Czy „po prostemu”, czy „po miastowemu”? Czy więcej słów, bajek, pieśni słyszałem białoruskich, czy polskich? Ile razy i kiedy przekraczałem tę niedostrzegalną granicę między białoruskością i polskością?

Nie wryłaś się w ludzką pamięć, Białorusi. Nie odbierałaś innym wolności, nie rabowałaś cudzej ziemi, nie mordowałaś ludzi z sąsiedzkiej miedzy. Miałaś dla obcych szacunek i gościnny kołacz, miałaś dla rabusiów ostatnią krowę i ostatnią kromkę żytniego chleba ze znakiem krzyża, miałaś dla nieszczęśliwych krwawiące serce i biedne niepieszczone życie do oddania. Dlatego mało kto ciebie pamięta.

Mnie też pod koniec wojny uratowano życie w białoruskim domu. Prości ludzie, nie młodzi i nie starzy, zwykli chłopci szerniali od ciężkiej pracy, na pewno analfabeci jeśli idzie o piśmienność i profesorowie jeśli idzie o znajomość psychologii i losów człowieczych, ci prości ludzie uratowali mnie, osiemnastolatki, życie, podarowali na złe i na dobre te wszystkie lata, które z mozołem spychałem za siebie. Uchronili mnie może tylko przed śmiercią, a może przed wieloletnią bydlęcą wegetacją, przed takim wariantem losu, o którym ze zgrozą myślę w bezsenne noce. Pewnie już nie żyją, albo może żyją i nie pamiętają chłopca w wojskowych butach i w wojskowych spodniach, ale w chłopskiej samodziśłowej kurtce, który przekradał się do Wilna. A ja ich pamiętam, pamiętam chłód izby w sierpniowym upale, pamiętam gliniane klepisko podłogi, pamiętam porysowany słojami stół pod oknem, pamiętam ich ludzką ufność, że mnie uratują z rąk oprawcy w niebieskiej czapce. I boleśnie żałuję, iż nie mogę opisać tego krótkiego incydentu, którego byli cudotwórcami.

Kiedy przypomnę białoruskie słowo, kiedy zawieje wiatr z północnego wschodu, kiedy zobaczę płócienną koszulę ze smutnym haftem, kiedy usłyszę krzyk bólu bez skargi, zawsze uderzy mi żywiej serce, zawsze wyskoczy skądś łagodna tęsknota, zawsze podpłynie raptowny chłód nieokreślonych wyrzutów sumienia, poczucia współwiny i zawstyżenia.

Białorusi, Białorusi szarozielona z ogromnym niebem nad płową głową, za dobra, za łagodna, za szlachetna jesteś na nasze czasy.

*

Niedobrze. Coś sobie przypominam, troszkę dywaguję, czasem zaskuczę w raptownym rozrzewnieniu, a obiecałem przecież dziennik, raptularz, pełen smakowitości pamiętnik. Wiem, o jakie to smakowitości idzie wam, idzie też mnie. Bo ja także uwielbiam ploteczki, świństewka, opaskudzenie czcigodnych bliźnich. Bieda jednak w tym, że nie mam sił i zdrowia do opisu, do szczegółowej relacji, do pracowitego przyczynkarstwa. Ale będę się starał, opanuję bezsilę, uduszę własnymi rękami zniechęcenie i dam wam pokarm, którego żądacie.

Zaczynam już w tej chwili. Proszę bardzo. Od czego tu by wystartować? Może od cen? Podam wam, co ile kosztuje w tę dziwną zimę, jeszcze jedną dziwną zimę, bo od pewnego czasu są dziwne zimy, dziwne lata i dziwne jesienie. Więc mógłbym rozpocząć od cen, ale mi się nie chce, choćby te ceny miały się w końcu okazać najwartościowszymi strofami mojej prozy.

Opowiem więc wam krótko o marnym widowisku, które wymyślono na przełomie tych lat, a które nazwano kryzysem energetycznym.

Świat już od pewnego czasu biesił się wyraźnie. Roztyty, rozpieszczony, rozpuszczony wolnością wreszcie nażarł się do przesytu, wreszcie nasłodził się sam sobą aż do mdłości, wreszcie zbezczcił wszystkie tabu wznoszone z rozpaczliwym wysiłkiem przez dziesiątki dawnych pokoleń. I czekał już tylko na sposobną okazję do wielkiego amoku, do niszczyielskiej ekstazy, do szaleńczego wybuchu samozagłady. Wojna, która w zanadrzu trzyma niewiadomą w skutkach reakcję termojądrową, nie mogła zadowolić zbuntowanych sybarytów, rozwydrzonych pieścuchów i przybranych w szaty świętości kabotynów.

Więc burzyli, żeby za bardzo nie zburzyć, więc rewolucjonizowali, żeby za bardzo nie zrewolucjonizować, więc przeklinali, żeby za bardzo nie przekląć. A obok, za siedmioma niskimi górami, za siedmioma płytkimi rzekami, torturowano całe narody, mordowano całe społeczności duchowo i fizycznie, a obok deptano godność ludzką, a obok obracano człowieka w zwierzę. Ale oni tego nie chcieli ani widzieć, ani

słyszeć. Oni słyszeli tylko stękanie własnych zmęczonych żołądków, oni widzieli tylko ocean własnych rzygowin.

No i doczekali się bezpiecznego horroru, wybuchu wulkanu bożonarodzeniowych zimnych ognii. Kryzys energetyczny. Straszą się nim od rana do wieczora, drżą pracowicie z emocji, mdleją ze zgrozy. Jak szakale rzuciły się na temat bezrobotne Kasandry. Pohukiwania puszczyków, wycia szakali, jęki wampirów. A przypomina to wszystko popis histerycznego dziecka, które miota się w konwulsjach i przypatruje się z upodobaniem własnym konwulsjom, które ryczy nieludzko i słucha z uznaniem swego ryku, które zatapia się w szaleństwie i bada troskliwie głębię tego szaleństwa.

Wiem, że glob nasz to już tylko piłka z pumeksu. Że wydłubano z niego szkielet, że wypruto mięśnie i spuszczone krew. Ale wiem także, że skasowano z niego kilkadziesiąt narodów, że spalono na nim kilkadziesiąt kodeksów moralnych, że ukrzyżowano na nim kilkudziesięciu Chrystusów.

*

Bluznąłem sobie, poddając się automatyzmowi bluzgania. Więc bluzgałem, słuchając z upodobaniem własnego bluzgania. Więc bluzgałem, naciskając uważnie pedał bluzgania.

A kiedy bluzgam, szybuję wysoko nad ziemią i okiem jastrzębia patrzę na małe rumowiska miast, na skąpe owłosienie lasów, na nikczemne pyłki istnień ludzkich.

A kiedy skończę szybować i wyjdę do sklepu po kartofle, zaraz w ogonku ktoś mnie popchnie, ktoś obsobaczy, ktoś spiorunuje nienawistnym wzrokiem, więc i ja zaczynam nienawidzić, aż się duszę od nienawiści i obmyślam w tym ogonku, a potem jeszcze w domu obmyślam, jak bym się zemścił na tym panu w futrzanej czapeczce, jak bym kopnął w zadek tę rozszluszczoną staruszkę, jak bym ich leciutko potorturował. Później zaczynam słabnąć, później ogarnia mnie lenistwo i nie chce mi się nienawidzić pana w futrzanej czapeczce i jadowitej staruszki, nie chce mi się ich torturować, nie chce mi się niczego. Więc odpuszczam im winy, a odpuszczając im winy, znowu wzbijam się pod niebo i szybuję wysoko nad ziemią, i patrzę okiem jastrzębia na siebie, na mały, francowaty pyłek istnienia ludzkiego, które chciałoby być boską wiecznością, ale które, przynaglone przez żonę, musi znowu wyjść do kiosku po gazety, znowu musi stanąć w ogonku i kupować wśród koszmaru upokorzeń te gazety, których później nikt w domu nie czyta.

*

Wojtek Siemion jest aktorem przez całą okrągłą dobę. Wojtek jest zawsze aktorem. Wojtek Siemion lubi recytować wiersze w każdej wolnej chwili. Lubi recytować dla kolegów, dla przechodniów, nawet dla dzieci.

Kiedy kręciliśmy „Salto”, któregoś wieczora Siemion jadł kolację we wrocławskim Klubie Dziennikarzy. Po kolacyjce Wojtek wspiął się na podium orkiestry i zaczął recytować Gałczyńskiego. Recytował tak cały wieczór. Sala z wolna pustoszała. Wreszcie zostało tylko kilkunastoosobowe towarzystwo przy zsuniętych stolikach. Wtedy Siemion zszedł z podium i zbliżył się do tego towarzystwa. I recytował tylko dla nich, tylko dla nich jedynych, jak cygański skrzypek, obchodząc nieśpiesznie te zsunięte stoliki.

Koło północy jeden z biesiadników odwrócił się nieśmiało do artysty i rzekł z przepaszającym uśmiechem:

– My russkije, my nie panimajem.

On miał dwadzieścia jeden, może dwadzieścia dwa, a ja piętnaście albo szesnaście lat. Mimo silnych przymrozków ubrany był do figury, w troskliwie dopasowany, bardzo elegancki i odrobinę picerski mundur lotnika. Ja wyglądałem jak łachmyta. Domowej roboty spodnie, domowego szycia kurtka, wszystko workowate, niezgrabne, sporo za duże. Staliśmy naprzeciwko siebie na peronie dworca wileńskiego, nie, nie na peronie, ale w wielkim kamiennym hallu kasowym.

Zaczął ogromnie z pańska. Niczym wykwintny turysta w egzotycznym porcie, niczym biały sahib wśród dzikich krajowców. Głosem nieznoszącym sprzeciwu polecił i gestami wskazał jak głuchoniememu, żebym niósł jego wielką skórzaną walizkę. Uparłem się, że nie. Odpowiadałem hardo i biegle po niemiecku, że nie mam czasu, że gdzieś się bardzo śpieszę. Dosyć szybko rosła między nami sprzeczka i to wcale nie wojenna ani ideowa, tylko zwykła rywalizacja ambicyjna między wysportowanym paniczkiem, który jeszcze niedawno mógł być kapitanem drużyny koszykówki w Heidelbergu, a upośledzonym, zmuzułmanionym i azjatycko anonimowym człowieczkiem-robakiem pełzającym po niechlujnym dworcu przypominającym bardziej stację poczty konnej niż kolejowej. Ale on wyczuwał, że za moją mimikrowatą, niewolniczą powierzchownością kryje się też mój własny Heidelberg, moja własna drużyna koszykówki i moja własna kolekcja płyt jazzowych. I ten absurdalny konflikt prestiżowy w dzikim miasteczku dalekiego Wschodu rozjuszył go do tego stopnia, że zaczął wrzeszczeć jak zwykły żołdak rabujący kury u wiejskich wdów, zaczął histerycznie odpinać kaburę z pistoletem, w ogóle zaczął robić z tego ostateczną i najważniejszą sprawę Trzeciej Rzeszy. Wobec tego z lekką przewagą psychologiczną poddałem się jego przerysowanej histerii i z obraźliwą obojętnością chwyciłem za ucho ciężką walizę wypełnioną dobytkiem wiezionym na niemily front wschodni.

On szedł za mną i udawał, że nie było wcale tego spięcia ambicyjnego dwóch rywali, którzy grali w te same gry sportowe, którzy słuchali tych samych melodii amerykańskich i czytali do upadłego humorystyczne powieści Wodehouse'a. Tak weszliśmy na peron, przy którym stał pulmanowski urlaubzug odjeżdżający pod Kursk, Wiaźmę albo może pod Leningrad.

Postawiłem walizkę i chciałem odejść. Lecz on głosem naśladowującym udobruchanie poprosił, żebym zaczekał. Wyjął portmonetkę, odszukał w niej stosowny banknocik, wyciągnął w moją stronę rękę z napiwkami.

Wtedy ja zastartowałem z histeryczną determinacją. A wyglądało to w ten sposób, że proszę bardzo, mogłem ulec przemocy okupanta, mogłem poniżyć się przed niehonorowym prześladowcą, mogłem przenieść tę walizę tak jak już kilkanaście miesięcy nosiłem szyny kolejowe, worki z cementem albo świerkowe bierwiona. Ale pieniędzy żadnych nie wezmę, nie przyjmę żadnej zapłaty, która by usankcjonowała ten incydent jako dobrowolną i honorową transakcję między paniczkiem z dobrego domu a przechodzącym człowiekiem, takim, co mu się przyda w ciężkich czasach parę dodatkowych marek.

Wobec tego bluznąłem bez specjalnych oporów i wydawało mi się, że mam nad nim przewagę, i to trudną do określenia przewagę, która jest wynikiem jego niełojalnego znalezienia się, bo na boisku albo na korcie nie mogłby się znaleźć w stosunku do mnie w taki sposób. Ale on tę moją przewagę odczuł jako własną zniewagę, jako policzek, a może nawet jako hańbiący kopniak, bo nadużywając swoich praw übermenscha, w które może po cichu nawet nie wierzył, więc nadużywając świadomości i może nawet z pewnym wahaniem tych praw, zaczął wrzeszczeć jak

obdzierany ze skóry, odpiął kaburę do końca, wydobył pistolet i grożąc pistoletem, wepchnął mi do kieszeni szary, mizerny banknocik. Ja odchodziłem zupełnie obojętny, jakbym w ogóle nie zauważył tego napiwku i wrzaskliwej przemocy.

Dopiero przy końcu peronu wyciągnąłem z kieszeni dwoma palcami, z demonstracyjnym obrzydzeniem, ten banknot, który mu na drogę dała z pewnością dobra niemiecka mama, i wrzuciłem go do kosza od śmieci, plugawego wojennego kosza pełnego nędznych wojennych śmieci.

A on zaryczał jak raniony jelonek i dla zadośćuczynienia swoim drażliwym ambicjom rzucił się w moją stronę, ale rzucił się bardziej w mimice, w przesadnej gestykulacji, w gwałtowności psychologicznej niż w czysto fizycznej kinetyce, ponieważ ja miałem już bliźniutko tunel i bardzo skwapliwie, bez żenady, skoczyłem sobie wesoło do tunelu, częstując dumnegoomalże rówieśnika obelżywym gestem zginanej w łokciu ręki, jakbym odmierzał coś wspaniale wielkiego i do tego jeszcze w stanie erekcji.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI